

ALEKSANDRA

MARININA

Śmierć
i trochę
miłości

MRO CZNA
SERIA



Aleksandra Marinina (ur. 1957 we Lwowie) – mieszkała w Leningradzie, potem przenieśli się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach podjęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się wyłącznie pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas sześć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005), *Złowroga pętla* (2006) oraz *Kolacja z zabójcą* (2007).

ALEKSANDRA

MARININA

śmierć
i trochę
miłości



w serii ukazały się:

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



MRO CZNA
SERIA

ALEKSANDRA

MARININA

śmierć
i trochę
miłości

przełożyła ELŻBIETA RAWSKA

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Смерть и немного любви*

Copyright © A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I

Warszawa 2007

ROZDZIAŁ 1

Dzień roboczy szybko zbliżał się do końca, ale Anastazja Kamińska wciąż nie mogła uporządkować swoich papierów, notatek, tabel statystycznych. Musiała to jednak koniecznie zrobić, gdyż ten piątek był ostatnim dniem jej pracy przed urlopem. Jak również ostatnim dniem jej życia jako kobiety niezamężnej. Jutro, trzynastego maja, w sobotę, Nastia Kamińska wyjdzie za mąż.

Kiedy przed trzema miesiącami ona i Aleksiej Czistia-kow złożyli dokumenty w urzędzie stanu cywilnego, żartem na ten temat nie było końca. Wszyscy wiedzieli, że Nastia wkrótce skończy trzydzieści pięć lat, z Czistia-kowem znają się od dziewiątej klasy i od tamtej pory zawsze są razem, że Kamińskiej wcale nie zależy na ślubie i życie rodzinne specjalnie jej nie pociąga. Dlatego ta nieoczekiwana decyzja spowodowała ze strony przyjaciół i kolegów prawdziwą nawałnicę nietaktownych i złośliwych pytań. Jedni obrzucali podejrzliwym spojrzeniem szczupłą sylwetkę Anastazji, szukając oznak ewentualnej ciąży, drudzy twierdzili, że Czistia-kow otrzymał propozycję pracy na Uniwersytecie Stanforda i Kamińską skusiła perspektywa spokojnego życia za granicą w roli żony profesora. Jeszcze inni, do których dochodziły niekiedy słuchy na temat niebezpiecznych sytuacji, w jakie zwykła się pakować Nastia, głosili oryginalną teorię, jakoby Kamińska zaczęła się po prostu bać życia w samotności.

Czymkolwiek jednak znajomi Anastazji tłumaczyli ten krok, w istocie zachowywali się tak samo – trochę sobie z niej pokpiwali, ale zarazem pochwalali jej decyzję. W końcu najwyższa pora się ustatkować i zacząć żyć jak inni.

Dzisiaj, dwunastego maja, w przeddzień ślubu, wszyscy kompletnie powariowali. Co piętnaście, dwadzieścia minut albo ktoś dzwonił, albo wpadał do pokoju Nasti, serwując kolejny idiotyczny żart. Nawet poważny i nieskory do śmiechu Igor Lesnikow, który przyszedł spytać, czy nie wybrała by się z nim na obiad do stołówki, i spotkał się z uprzejmą odmową, zaripostował złośliwie:

- No jasne, dzisiaj się możesz przegłodzić. Od jutra będziesz miała w domu osobistego kucharza.

Nastia nie obraziła się, ponieważ doskonale wiedziała, do czego pije Igor. Była wręcz patologicznie leniwa we wszystkim, co nie dotyczyło pracy. Rzeczywiście nie umiała gotować, nie znosiła robić zakupów, a w domu starała się odżywiać w taki sposób, by mieć jak najmniej naczyń do zmywania. Za to Losza był nie tylko geniuszem matematycznym, ale i kulinarnym. Od chwili gdy rodzice Nasti zamienili swoje duże mieszkanie na dwa małe, by ich dorosła córka miała własne lokum, Losza wziął na siebie troskę o zdrowie przyjaciółki; gdyby bowiem nie przyjeżdżał do niej co najmniej raz w tygodniu, żeby ugotować obiad, żywiłaby się wyłącznie kanapkami, popijając je morzem mocnej czarnej kawy.

Z niebywałym zdumieniem Anastazja uświadomiła sobie, że wieść o jej bliskim zamążpójściu dotarła nie tylko do przyjaciół. Właściwie w tym, że dowiedziało się o ślubie wiele osób, nie było nic dziwnego, ale Nastia nie przypuszczała, że ten fakt może kogokolwiek zainteresować, oczywiście oprócz tych, którzy od dawna ją znają. Okazało się, że nie miała racji. Parę dni temu musiała pojechać do prokuratury miejskiej, do śledczego Olszańskiego, i w jego gabinecie natknęła się na faceta, który – dzięki jej wysiłkom – od kilku miesięcy siedział w areszcie jako podejrzany.

- Nie miałem szczęścia. - Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. - Gdybym poczekał do maja, już by mnie pani nie przy-skrzynyła.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Anastazja. - Gdzie by pan zniknął?

- Nigdzie, ale pani wyszłaby za mąż - wyjaśnił kandydat do najwyższego wymiaru kary.

- No i co z tego?

- No i nic. Po prostu nie miałyby pani do mnie głowy. Tylko stare panny bywają takie zawzięte, bo nienawidzą wszystkich mężczyzn. A mężatki są zaprzątnięte innymi sprawa-mi niż praca, ot, siedzą tylko i objają się, byle wziąć pen-sję na pierwszego. No trudno, miałem pecha.

Po powrocie na Pietrowkę Nastia opowiedziała o tym swojemu przełożonemu, pułkownikowi Gordiejewowi.

- No proszę! - wykrzyknął z tryumfem. - A co ja ci mó-wiłem?

- Co mi pan mówił? - zapytała speszona Nastia, nieświadoma przyczyny nagłego ożywienia Wiktora Aleksiejewicza.

- Mówiłem, że najgroźniejszą bronią oficera śledczego jest jego reputacja. Nie umiejętność posługiwania się bronią, nie szybkie nogi, nie czarny pas w karate, lecz właśnie re-putacja. Na przykład ty, niby taka mała, cichutka myszka, nikt cię nie widział i nie zna, siedzisz w swoim kątku i skro-biesz dla mnie jakieś tam sprawozdania analityczne. Prawda? A tymczasem, widzisz, nasi kryminaliści o tobie gadają. To znaczy, że w ich oczach jesteś kimś. I to kimś niebezpiecznym. Skoro nawet oni sami to przyznają, ocena musi być słuszna. Pamiętaj, Nastieńko, oficer śledczy, o którym śro-dowisko przestępcze nie wie, jest nic niewart. Bo jeśli przestępcy o kimś takim nie wiedzą, to znaczy, że się nim nie interesują, a skoro się nie interesują, to się go nie boją. Kryminalista przechodzi przez ręce takiego oficera i nawet go nie zauważa, nie pamięta. Rozumiesz?

- Niech pan da spokój, Wiktorze Aleksiejewiczu. - Nastia machnęła ręką. - Co ze mnie za oficer śledczy? Śmiechu warte. Jestem analitykiem, nie wywiadowcą.

- Dobrze, dobrze, możesz się śmiać - wielkodusznie przyzwolił pułkownik. - Zobaczymy jeszcze, kto się będzie śmiał ostatni.

Rozmowa odbyła się cztery dni temu i wówczas Nastia Kamieńska nawet nie podejrzewała, jak słuszna jest opinia przełożonego. Także dziś, w przeddzień ślubu, nie przemknęło jej przez głowę, że jeszcze przed upływem doby sama się przekona, iż kryminaliści znają ją nie tylko z imienia i nazwiska. Ale to miało się stać dopiero jutro. Dzisiaj Nastia siedziała w swoim gabinecie na Pietrowce 38 i metodycznie porządkowała nagromadzone w sejfie i szufladach hałdy papierów.

Około wpół do ósmej zadzwonił ojczym.

- Dziecino, pojedziesz ze mną na lotnisko po mamę?

Nastia zawahała się. Nie widziała matki kilka miesięcy, ale przecież i tak jutro się zobaczą. A ona ma jeszcze tyle roboty...

- Rozumiem - sucho rzekł ojczym. - Znowu siedzisz po uszy w pracy.

- Oj, tatuśku... - zaczęła Nastia błagalnym tonem. - Muszę wszystko doprowadzić do porządku przed urlopem. Przecież wiesz.

- Wiem - nieco łagodniej przyznał Leonid Pietrowicz. - Chwała Bogu, że w ogóle przyszło ci do głowy wziąć urlop. No dobrze, pojedę sam.

- Dzięki, tatuśku - z wdzięcznością powiedziała Nastia. - Jutro się zobaczymy.

Boże, ależ jej się poszczęściło w życiu! Ojczym, którego - odkąd pamięta - nazywa tatusiem, zawsze rozumiał ją w pół słowa, gdyż sam wiele lat przepracował w wydziale kryminalnym. Szef, z którym ani razu w ciągu ośmiu lat nie była w konflikcie. I Losza, który nie tylko ją kocha, ale zna dosłownie na wylot, tak że nigdy w okresie ich długotrwałej

go związku nie zrobił żadnego fałszywego kroku, wyczuwał ją bezbłędnie. Co prawda, ona sama potrzebowała sporo czasu, by zrozumieć, że to właśnie jest najcenniejsze i naprawdę ważne w relacjach między dwojgiem ludzi, a nie wybuchy dzikiej namiętności, burze emocji i inne głupstwa. Gdy tylko pojęła tę prostą prawdę, od razu zgodziła się wyjść za Loszkę. Jednakże wytłumaczyć to komuś okazało się zadaniem zbyt trudnym. Wyglądało na to, iż zdecydowała się na ślub jedynie dlatego, że Losza kupił jej komputer. Nawet najbliższy przyjaciel Nasti, kolega z pracy, Jura Korotkow, nie mógł tego zrozumieć.

- Loszka dostał duże honorarium za podręcznik i zafundował mi komputer, to miała być niespodzianka - wyjaśniała Nastia. - A potem czekał na mnie na przystanku autobusowym i kiedy się spotkaliśmy, zaczął się dopytywać, czy nie chciałabym spędzić urlopu gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Masz pojęcie? U mnie w domu już stoi rozpakowany komputer, tymczasem on mnie namawia, żebym się wybrała na tak kosztowne wakacje.

- A gdybyś się zgodziła? - zapytał Korotkow. - Gdybyś miała ochotę pojechać nad ciepłe morze? Przecież pieniądze zostały już wydane. Co wtedy?

- Właśnie o to chodzi, że Loszka był pewien, że odmówię - z zapalem przekonywała Jurę Nastia. - Tak dobrze mnie zna, że wiedział bez pudła, na czym mi najbardziej zależy. Chociaż nigdy nawet się nie zająknęłam ani o tym, że komputer jest mi potrzebny do pracy, ani że chciałabym pojechać nad Morze Śródziemne. Wyobraź sobie, że twoja żona codziennie smaży ci na śniadanie jajecznicę, bo to zabiera najmniej czasu, a przecież sama herbata to trochę za mało. Zwykle w domu jest coś więcej niż jajka, mogłaby ci na przykład ugotować parówki, ale parówek akuratnie nie znosisz, więc każdego ranka dostajesz swoją jajecznicę. I nagle sytuacja diametralnie się zmienia. Żadnych więcej jajek, w lodówce jest za to jogurt, sałatka z krewetek i krabów, deser ananasowo-bananowy, świeże ostrygi i rostbef. Czy twoja

żona potrafiłaby, nie zadając ci ani jednego pytania, wybrać dokładnie to, co miałbyś ochotę zjeść na śniadanie? Pamiętaj, że nigdy przedtem nie musiała się głowić nad podobnym problemem, bo ani ty, ani ona nawet nie znaliście smaku tych frykasów. Więc co, potrafiłaby?

- Chyba nie. - Korotkow pokręcił głową. - Zresztą ja sam pewnie też nie umiałbym wybrać. Z tego, co wymieniałaś, jadłem tylko jogurt.

- No widzisz. Tak samo Loszka. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, na co bym chciała wydać trzy tysiące dolarów. Jak żyję, nie miałam takich pieniędzy, on też nie, więc nie było o czym mówić. Ale kiedy nagle się pojawiły, Losza natychmiast odgadł, na co bym je przeznaczyła. Do tego nie wystarczy kogoś znać, trzeba go jeszcze wyczuwać równie bezbłędnie, jak siebie samego. Wtedy właśnie zrozumiałam, że drugiego takiego Loszki nigdy w życiu nie znajdę.

- To jasne. - Korotkow uśmiechnął się kwaśno. - Żaden normalny facet nie wytrzyma tego, że twoja praca właściwie nigdy się nie kończy, a jednocześnie jesteś tak potwornym leniem. Przyznaj się, że po prostu zatęskniłaś za ciepłem domowego ogniska, ale stworzonego cudzymi rękami, i nie opowiadaj mi tu bajek o wzniosłych uczuciach. Tak jak bym cię nie znał!

- No wiesz, Jurka... - Nastia westchnęła. - Zawsze wszystko musisz sprowadzić do trywialnych wniosków.

Historia z komputerem nie przekonała nikogo, niemniej była to absolutna prawda. I dzisiaj, w piątek, około dziewiątej wieczór, zamykając drzwi swego gabinetu i żegnając się z nim w duchu na prawie półtora miesiąca, Anastazja Kamińska pomyślała, że chyba nie popełnia błędu, wychodząc za męża.

W drodze do metra przypomniała sobie, że zamierzała kupić prezent przyrodniemu bratu. Aleksander Kamiński, syn ojca Nasti z drugiego małżeństwa, też miał wstąpić w związek małżeński, i także jutro. Młodszy od Nasti o siedem lat, dał się pochłonać bez reszty niespokojnemu, szalo-

nemu światu biznesu, suchych, nudnych kalkulacji finansowych i wielkich pieniędzy. Aleksander był już żonaty, a jego związek, choć dosyć letni, wydawał mu się udany, dopóki Sasza nie spotkał na swojej drodze cudownej dziewczyny, która pokochała go gorącą, szczerą i absolutnie bezinteresowną miłością. Wówczas dopiero się przekonał, że każdy dzień życia może być prawdziwym świętem. Wprawdzie kosztowało go немало czasu i wysiłków, żeby w to uwierzyć, ale gdy tylko się tak stało, w jednej chwili zamienił się w czarodzieja, dla którego największą przyjemnością było obdarowywanie innych i dokonywanie małych i wielkich cudów. Gdy się dowiedział, że siostra, która odegrała tak istotną rolę w jego związku z Daszą, wychodzi za mąż trzynastego maja, użył całej swojej siły przebiccia, wykorzystał wszystkie dojsčia i nie żałował pieniędzy, by zdążyć z załatwieniem w porę formalności rozwodowych, po czym sprawił, że termin jego ślubu z nową narzeczoną został wyznaczony na ten sam dzień. Oczywiście, miał wielką ochotę, by obie ceremonie odbyły się w tym samym urzędzie stanu cywilnego, ale tu już nie pomogły żadne argumenty – decydowało miejsce zamieszkania panny młodej lub pana młodego. Wyjątek stanowił jedynie Pałac Ślubów, gdzie mógł zawrzeć związek małżeński każdy, ale w tej sprawie Nastia okazała się nieprzejednana: żadnej pompy, żadnych spektakularnych ceremonii, wszystko ma się odbyć szybko, skromnie i po cichu.

Tak więc Sasza zmodyfikował swój wspaniały pomysł w sposób następujący. Najpierw Nastia z Aleksiejem i on z Daszą pojedą na dziesiątą do jednego urzędu, gdzie Aleksander weźmie ślub ze swoją narzeczoną, a siostra i jej narzeczony będą świadkami, a następnie udadzą się do drugiego – tam odbędą się zaślubiny Nasti z Loszą, a w roli świadków wystąpią świeżo upieczeni małżonkowie. Potem cała czwórka zgodnie ruszy do restauracji, gdzie już będą czekać cztery rodzicielskie pary, i wszyscy razem zjedzą skromny obiad.

- Może lepiej nie? - wahała się Nastia, która w ogóle nie miała ochoty świętować swego zamążpójścia w szerszym gronie. - Nie sądzę, żeby nasz ojciec dobrze się czuł w towarzystwie obu swoich żon, byłej i obecnej.

- Och, Aśka, daj spokój. Tyle lat minęło, że to już nikogo nie może krępować. Przeciwnie, jestem pewien, że to dobry pomysł. Tak wiele zrobiłaś dla mnie i Daszki, że nie mogę nie być na twoim ślubie i nie chcę świętować swojego bez ciebie.

- Właśnie dlatego nie trzeba było wyznaczać obu na ten sam dzień - powiedziała niezadowolona Nastia. - Sam stwarzasz trudności, które potem wszyscy muszą z heroicznym wysiłkiem pokonywać. Co by się takiego stało, gdybyśmy wzięli swoje śluby w odstępie tygodniowym?

- A wesele? - zapytał oburzony brat. - Przecież właśnie o to chodzi, żeby wszystko odbyło się tego samego dnia. Pomyśl, co za wspaniała historia! I rocznice ślubu będziemy potem mogli obchodzić wspólnie. Asiu, ty wciąż żyjesz wyobrażeniami z minionej epoki, ale to się już skończyło! Nie masz pojęcia, jak dziś można się zabawić, rozerwać! Oczywiście, w tym roku nigdzie nie pojedziemy w podróż poślubną, bo Daszka za dwa miesiące rodzi, ale pierwszą rocznicę ślubu możemy obejść, na przykład, w Madrycie. Drugą - w Wiedniu, trzecią - w Paryżu. Pojedziemy tam całą czwórką, zrobimy z tego tradycję, piękną tradycję, którą będziemy pielęgnować i podtrzymywać, a wszyscy będą tylko kręcić głowami z zachwytu i wydawać ochy i achy, bo nikt inny nie pomyślał, by zorganizować sobie takie wspaniałe święto - brat i siostra wraz ze współmałżonkami obchodzą rocznicę ślubu tego samego dnia.

- Sasza, bądź łaskaw dostosować nieco swoje plany do moich możliwości finansowych - rozdrażnionym tonem przywołała brata do rzeczywistości Nastia. - Nie pojedę ani do Madrytu, ani do Wiednia, ani do Paryża, bo nigdy nie będzie mnie na to stać. Twoje milionerskie zadęcia naprawdę mnie wkurzają.

- A daj ty spokój! - Aleksander Kamieński tylko się śmiał w odpowiedzi; był tak zaślepiony miłością, że nie pozwalał nikomu zakłócać obrazu bajecznego świata, który stworzył w swej wyobraźni. - Jesteś moją siostrą i będę cię woził, gdzie dusza zapagnie, za swoje pieniądze.

W końcu udało mu się postawić na swoim i nazajutrz miało się odbyć podwójne wesele. Prezent dla Daszy Nastia kupiła już dawno, natomiast sprawę prezentu dla brata wciąż odkładała na później. W rezultacie musiała się tym zająć dziś wieczorem.

Na placu Puszkina wsiadła do trolejbusu i pojechała na Arbat. Wydawało jej się, że właśnie tam widziała elegancki komplet przyborów na biurko, odpowiedni dla wytwornego biznesmena. Powoli krążąc pomiędzy stoiskami i z trudem pokonując chęć kupienia ogromnego opakowania kulek serowych, zauważyła nagle samochód, który wydał jej się znajomy. Po sekundzie przypomniała sobie, do kogo wóz należy, ale nie dawało jej spokoju jakieś nieuchwytnie, nieprzyjemne wrażenie. Skupiła się i ponownie zajrzała przez szybę do auta. Na tylnym siedzeniu leżał jaskrawoczerwony skórzany płaszcz z czarnymi wykończeniami. Dobrze go pamiętała, w Moskwie widywało się takie rzadko.

Nastia rozejrzała się i dostrzegła w pobliżu niewielki lokalik z ulicznym ogródkiem. Właściciel samochodu i posiadaczka kosztownego, ekstrawaganckiego okrycia siedzieli przy stoliku, tyłem do niej, i o czymś z ożywieniem rozmawiali. Właściwie teraz nic już to Nastii nie obchodziło, ale jednak, jednak...

Powoli podeszła do bufetu, wzięła filiżankę kawy i ciastko, po czym usiadła przy sąsiednim stoliku, starając się tak wybrać miejsce, by nie rzucać się tamtym dwojgu w oczy, a zarazem dobrze słyszeć, o czym mówią.

- ...strasznie gorąco. Moi znajomi byli tam w lipcu, podobno panują cały czas mordercze upały. Trzeba się wybrać później, we wrześniu - dobiegał do uszu Nastii nieco kapryśny głos dziewczyny.

- Ale przecież w zeszłym roku pojechaliśmy właśnie w lipcu - przypomniał jej towarzysz. - Moim zdaniem, pogoda była całkiem znośna. Nawet się opaliłaś.

- Też mi porównanie! - prychnęła wzgardliwie dziewczyna. - Na Costa Brava jest zupełnie inny klimat. A w Turcji w lipcu można zwariować z gorąca.

- Słyszałem, że w Turcji istnieje takie jedno miejsce, idealnie czyste pod względem ekologicznym, gdzie jest bardzo przyjemnie nawet w lipcu - nie poddawał się młody człowiek. - Sosny, piasek, świeże powietrze.

- Co to za miejsce? - z niedowierzaniem spytała jego przyjaciółka.

- Zaraz... poczekaj... Cholera, zapomniałem, jak się nazywa.

- To Kemer - głośno powiedziała Nastia, nie odwracając głowy.

- No właśnie, Kemer! - podchwycił z zadowoleniem mężczyzna głos.

- A tak między nami, nie wypada podsłuchiwać cudzych rozmów - rzuciła agresywnym tonem dziewczyna - a tym bardziej się do nich wtrącać.

Nastia spokojnie odstawiała swoją filiżankę na stolik i odwróciła się do pary młodych ludzi. W pierwszej chwili jej nie poznali. Potem chłopak gwałtownie zbladł, a na policzkach dziewczyny wykwitły czerwone plamy.

- Na pani miejscu powstrzymałabym się raczej od uwag na temat, co wypada, a co nie - zauważyła Nastia. - To, co pani zrobiła, podpada pod artykuł kodeksu karnego dotyczący składania świadomie fałszywych zeznań.

- Nie może pani tego udowodnić! - wybuchnęła dziewczyna. - I w ogóle to nieprawda.

- Co nieprawda? To, że w zeszłym roku spędziliście razem urlop? To, że od dawna i dobrze się znacie?

- I co z tego? - nie ustępowała dziewczyna. - Co z tego, że się znamy?

- Ależ nic. - Nastia westchnęła. - Po prostu alibi pani przyjaciela wydawało się wiarygodne właśnie dlatego, że pani bez cienia wątpliwości rozpoznała w nim człowieka, który przypadkiem zagadnął panią na ulicy akurat w tym czasie, gdy na drugim końcu miasta dokonywano przestępstwa. Ale w świetle faktu, że tak naprawdę znacie się od dawna, wszystko wygląda zupełnie inaczej.

- Nieważne, sprawa i tak jest już zamknięta - wtrącił się młody człowiek.

- Każdą zamkniętą sprawę można wznowić. - Nastia wzruszyła ramionami. - Małoż to razy się tak zdarza!

Podobnej nowiny parka bynajmniej się nie spodziewała. Młodzi ludzie najwyraźniej uważali, że jeśli sprawa zostaje zamknięta, to raz na zawsze. Z pewnością nikt ich nie poinformował, że śledztwa dotyczące niewykrytych przestępstw ciągną się latami. Niekiedy następują w nich długie przerwy, ale postępowanie w każdej chwili może zostać wznowione.

Nastia dopiła kawę i wstała.

- W poniedziałek powiadomię śledczego o naszym miłym spotkaniu, niech sam zdecyduje, co dalej robić. Niewykluczone, że będziecie mieli szczęście, jeśli nie uzna mojej informacji za istotną. Ale na wszelki wypadek wołę was o tym uprzedzić.

Parka patrzyła za nią w milczeniu. Rozmowa zostawiła po sobie jakieś nieprzyjemne wrażenie - w pamięci Nasti odżył wyraźny obraz pobitej i zgwałconej dziewczyny, która podczas okazania nie była zbyt pewna, kto jest sprawcą, gdyż ból i strach nie pozwoliły jej przyjrzeć się dobrze twarzy przestępcy. Za to ta rozwydrzona smarkuła, która co roku spędza wakacje w modnych kurortach, twardo obstawała przy tym, że widziała podejrzanego młodego człowieka w zupełnie innym miejscu. Dobrze go zapamiętała, gdyż należy akurat do tej kategorii mężczyzn, którzy są zdecydowanie w jej typie. Okazuje się, że wcale nie skłamała, gdyby było inaczej, chyba nie spędzaliby razem wakacji.

Nastia kupiła w końcu prezent dla brata, a potem z budki telefonicznej zadzwoniła do śledczego.

- Konstantinie Michajłowiczu, przepraszam, że niepokoję pana w domu, ale jutro czeka mnie koszmary dzień, a od poniedziałku będę na urlopie.

- Nic nie szkodzi, mów.

- Przed chwilą właśnie się dowiedziałam, że Artiuchin miał fałszywe alibi. Dziewczyna, która go rozpoznała jako mężczyznę pytającego ją o drogę na ulicy, to w rzeczywistości jego stara znajoma.

- Widzisz go! - Konstantin Michajłowicz gwizdnął cicho.
- Wychodzi na to, że koncertowo zrobili nas w konia!

- Chyba tak. Powiedziałam im, że zawiadomię, kogo należy, dopiero w poniedziałek.

- Rozumiem. Dobrze, Nastazjo, jutro się do tego zabiorę. Powiedz mi tylko, co powinienem sprawdzić.

- W zeszłym roku byli razem w Hiszpanii, na Costa Brava, w lipcu. A więc muszą się znać co najmniej od roku.

- Skurwiele. Poczekaj no - przypomniał sobie śledczy - wychodzisz jutro za mąż, tak? Czy może coś pokręciłem?

- Nie, nie pokręcił pan.

- Więc dlaczego...

- Ślub jest jutro, nie dzisiaj. Dziś jeszcze pracuję.

- Kamieńska, nikt nigdy ci nie mówił, że jesteś stuknięta?

- Ciągłe to słyszę. Pan jest sto dziewiętnasty.

- Chwała Bogu, że oprócz mnie żyje na świecie jeszcze stu osiemnastu normalnych ludzi. A twój przyszły mąż też należy do tej grupy?

- Nie - powiedziała wesoło Nastia - jest jeszcze bardziej pokręcony niż ja. Kiedy przyjeżdża do mnie na weekend, zabiera ze sobą swoje papiery i cały czas coś gryzmoli.

- No cóż, dobraliście się w korcu maku. Życzę wszystkiego najlepszego. A Artiuchina załatwię na cacy. Ty spokojnie wychodź za mąż i niczym się nie martw.

Do domu Nastia wróciła o północy. Czistiakow siedział w kuchni i układał pasjansa. Jutrzejszą imprezą, podobnie jak Anastazja, nie czuł się szczególnie przejęty. Może dlatego, że zbyt długo czekał na tę chwilę i przez lata trochę się wypalił wewnątrz.

- Losza, jesteś na mnie zły? - spytała Nastia od progu.
- Przepraszam, słoneczko, ale nagromadziło się tyle spraw, że nawet nie pojechałam po mamę na lotnisko. No i musiałam jeszcze kupić prezent dla Saszy...

- I nie mogłaś mnie uprzedzić? - gniewnie wtrącił Czistiakow. - Już noc, a ciebie Bóg wie gdzie nosi. Zjesz coś?

- Zjesz. To znaczy, zjem - poprawiła się Nastia.

Patrząc, jak Anastazja z apetytem wcina sałatkę, Losza złągodniał. Wróciła cała i zdrowa, a więc wszystko w porządku. I tak nie da się jej przerobić. Jest niereformowalna. Zresztą nie ma potrzeby Nasti zmieniać.

Ela Bártos rozpięła zameczek łańcuszka i zdjęła kolejny naszyjnik.

- Ten też się nie nadaje - orzekła z westchnieniem. - Jest zbyt efektowny i odwraca uwagę od sukni. Co tam jeszcze mamy?

- Uspokój się wreszcie - powiedziała rozdrażniona Tamila. - Zachowujesz się tak, jakby to miało być jedyne i ostatnie wydarzenie w twoim życiu. Wiesz, co powtarzał swego czasu twój dziadek, profesor Berekaszwili? Że w ludzkim życiu jest tylko jedno wydarzenie, które nigdy się nie powtarza: obrona pracy doktorskiej. Człowiek może napisać i obronić nawet pięć prac, ale tylko pierwsza z nich uczyni zeń doktora, wszystkie pozostałe będą już habilitacyjne, nawet jeśli ktoś zechce się habilitować w zupełnie różnych, odległych od siebie dziedzinach. Za mąż natomiast można wychodzić dziesiątki razy, do upojenia. Dlatego nie warto traktować jutrzejszego ślubu jako wydarzenia szczególnie ważnego i przywiązywać do niego aż takiej wagi. Wielka rzecz, pójdziecie do urzędu, pożyjecie

ze sobą parę miesięcy, zaspokoicie młodzieńczy głód seksu, a potem wszystko to zacznie cię śmiertelnie nudzić i w podskokach polecisz złożyć pozew o rozwód.

Ela opuściła głowę i ciężko klapnęła na krzesło, nie bacząc na to, że gniecie elegancką ślubną suknię. Po jej policzkach stoczyły się łzy, pociągnęła nosem i otarła twarz dłonią.

- No tak, zaczyna się - rzuciła sucho Tamila, chowając do pudeleczek rozrzucone bezładnie kosztowne ozdoby. - Jesteś taka podenerwowana, moja droga, że słowa ci nie można powiedzieć. Weź się w garść, bo ludziom trudno będzie z tobą wytrzymać. Nie znasz się na żartach, o byle co się obrażasz, uderzasz w płacz. Co za koszmarny charakter!

Po tych słowach matki Ela zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju. Matka nie ukrywała niezadowolenia z jej wyboru kandydata na przyszłego męża. Ona sama, córka dumnego i niezależnego gruzińskiego uczonego i znanej pisarki z arystokratycznej rodziny Biersieniewów, wyszła w swoim czasie za mąż za Węgry Istvána Bártosa, syna akredytowanego w Moskwie dyplomaty. Zagraniczne kontakty i znajomości męża, a także niemałe zasoby materialne własnej rodziny pozwalały Tamili Bártos pędzić przyjemny i beztroski żywot, błyszczeć na przyjęciach i bankietach, towarzyszyć mężowi w licznych podróżach, z początku rzekomo w celu odwiedzenia rodziny za granicą, a potem - w interesach. Tamila - urodziwa, swobodna i obyta, o rasowej twarzy, nosie z lekkim garbkiem, gęstych, granatowoczarnych włosach, bujnym biuście i wspaniałych biodrach - stale była w centrum zainteresowania i mimo swoich czterdziestu pięciu lat nie mogła narzekać na brak wielbicieli. To, że większość z nich fascynuje nie tyle jej uroda i walory towarzyskie, ile kontakty i pieniądze Istvána, nawet nie przychodziło Tamili do głowy. Wychowana w inteligentnej, należącej do elity rodzinie, biegle władająca niemieckim i węgierskim, od dzieciństwa przyzwyczajona do życia w dostatku, obdarzana miłością i zainteresowaniem, uważała swoją atrakcyj-

ność za rzecz naturalną i oczywistą, za coś, co istniało zawsze i będzie trwało wiecznie.

Trudno się dziwić, że miała własne wyobrażenie przyszłego zięcia. Bynajmniej nie był to poczciwy okularnik, młody naukowiec, mieszkający z matką, biedny jak mysz kościelna i bez wielkich widoków na przyszłość. Oczywiście, Pista (Tamila, podkreślająca pochodzenie męża, używała węgierskiej zdrobniałej formy jego imienia) mógłby zapewnić chłopakowi odpowiednią karierę, zatrudnić go u siebie, a później może nawet uczynić współnikiem. Ale czy jest sens w niego inwestować? Okularnik wcale nie przypominał złotego samorodka, na którego obróbkę warto tracić czas i pieniądze. To zwykły, naiwny głupek bez siły przebiccia, żyłki do interesów, obrotności i energii. Przyjrząwszy mu się uważniej, Tamila uznała, że cała sprawa polega na jego niezwykle atrakcyjności seksualnej, której nie może się oprzeć głupiutka młoda dziewczyna, jej córka. Chłopak był ogromnie pociągający – nawet Tamila, która wiele w życiu widziała, musiała to przyznać. Gdy zaś zaczyna działać potężna, naturalna siła przyciągania, wszelkie przeszkody jedynie wzmagają wzajemny pociąg, dlatego też, rozsądnie myślała Tamila, nie ma sensu zniechęcać córki do małżeństwa, gdyż osiągnie się skutek odwrotny do zamierzonego. Trudno, niech się pobiorą, zdecydowała cynicznie, a kiedy się już sobą nasycą i przestanie ich to bawić, będzie można pomyśleć o rozwodzie. Trzeba tylko na początek wybić córce z głowy idiotyczne przekonanie, że mąż to ten jeden jedyny, na całe życie, zesłany przez niebiosy towarzysz w doli i niedoli, na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki ich śmierć nie rozdzieli... i tak dalej, i tak dalej. Elena już teraz, w przeddzień ślubu, powinna być świadoma, że jutrzejsza impreza to nic wyjątkowego, przeciwnie, całkiem zwykle wydarzenie, jakich w jej życiu będzie jeszcze, oby Bóg dał, wiele.

Ela wyszła ze swojego pokoju z czerwonymi oczami i zapuchniętą twarzą. Nie miała już na sobie pięknej białej sukni, lecz szmaragdowozielone skórzane legginsy i długą prawie

do kolan bluź w popielate i zielone kwiaty. Gęste czarne włosy, zebrane i wysoko podpięte, odsłaniały wzruszająco szczupłą, giętką szyję i podkreślały pełne, ładnie wykrojone wargi, pociągnięte ciemną szminką.

- Idę do Kati - oznajmiła Ela zaczepnym tonem, spodziewając się wybuchu nowej kłótni.

Już ósma, powinna się wcześniej położyć, żeby jutro dobrze wyglądać, bo trzeba będzie wstać bardzo wcześnie - o siódmej Natasza przyjdzie ją uczesać, o ósmej Gala, żeby jej zrobić makijaż, potem manikiurzystka, a o wpół do dziesiątej powinna już wsiąść do samochodu i jechać do urzędu. Otwierano go o dziesiątej i Tamila nalegała, by wyznaczono termin ślubu na tę właśnie godzinę. Jej córka musi być pierwsza, a nie czekać w kolejce razem z innymi.

- Idź. - Matka tylko wzruszyła ramionami. - Znowu się późno położysz i będziesz jutro wyglądała jak marynowany śledź. Ale mnie na tym nie zależy, to ty wychodzisz za mąż, nie ja, to twój ślub, nie mój.

Ela czym prędzej wybiegła z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami, żeby się znowu nie rozplakać. Chwilami naprawdę nienawidziła matki. A w ciągu ostatnich kilku miesięcy te „chwile” zdarzały się tak często, że nie bez podstaw można by je zamienić na „prawie cały czas”.

Serdeczna przyjaciółka Eli, Katia, mieszkała w sąsiedniej klatce schodowej. Kiedyś dziewczynki chodziły do jednej klasy, potem razem zdawały na studia - Katia celująco, Ela oblała egzaminy wstępne za pierwszym i drugim podejściem. Teraz Katia była już studentką trzeciego roku, a Ela wciąż się objiała, regularnie jeździła za granicę, albo z rodzicami, albo na wycieczki turystyczne, i udawała, że studiuje historię filmu. Tamila, która w ogóle nie wiedziała, co to praca, uważała taki tryb życia za najzupełniej normalny; trzeba będzie tylko znaleźć córce odpowiedniego męża, to znaczy kogoś, kto zapewni jej możliwość tego rodzaju egzystencji, i to na określonym poziomie.

Katia ogromnie się zdziwiła na widok przyjaciółki.

- Ela? Coś się stało?
- Nie. Zwyczajnie wpadłam pogadać.
- W przeddzień ślubu? - z niedowierzaniem spytała Katia.
- Nie masz nic lepszego do roboty?
- Jeżeli ci przeszkadzam, to sobie pójdę - obrazila się Ela. - Przyszłam nie w porę?

- Coś ty, wejdź - uspokoiła ją Katia. - Po prostu się zdziwiłam. Zwykle panny młode w przeddzień ślubu są zajęte załatwianiem rozmaitych spraw, no wiesz, takich jak samochody, goście, przyjęcie. A potem do późnej nocy siedzą z narzeczonym w ciemnym kącie i cieszą się na myśl o tym, że jutro o tej porze będą robić to samo, tylko już w sposób prawnie usankcjonowany.

- Nie wiem, co zwykle robią panny młode. Ty jesteś moją jedyną przyjaciółką, a na razie jeszcze jakoś za męża nie wyszłaś - zauważyła Ela złośliwie.

- No, przez te trzy lata prawie połowa dziewcząt z roku już się zdażyła wydać - zaśmiała się przyjaciółka - więc dość się napatrzyłam. Chcesz herbaty?

- Chybabym coś zjadła - przyznała się zmieszana panna młoda.

Katia spojrzała na nią uważnie.

- Elena, przestań ściemniać. Przyszłaś prosto z domu, masz świeży makijaż, a na nogach kapcie.

- I co z tego?

- Więc czemu jesteś głodna? Matka nie daje ci jeść? A może znowu się z nią ścięłaś i tchórzliwie dałaś nogę, zapominając włożyć buty?

Eli zadrżały wargi i po chwili już się wyplakiwała na ramieniu przyjaciółki.

- Dlaczego mama tak go nie lubi? Co on jej złego zrobił?

- Elka, na miłość boską, a dlaczego miałaby go lubić? To ty powinnaś lubić swojego Walere, no i lubisz, a nawet kochasz. Nie żądaj, żeby jej się podobało to samo, co tobie.

Katia głaskała po głowie płaczącą przyjaciółkę, myśląc ze smutkiem, że jej wywody są chyba niezbyt zrozumiałe dla

milej, dobrej, ale ograniczonej Eleny. Wciąż od nowa zadawała sobie bolesne pytanie, co takiego widzi w tej niemądrej dziewczynie niezwykle uzdolniony przyszły naukowiec Walerij Turbin? Walerij odbywał staż asystencki w katedrze filozofii i Katia poznała go, kiedy przez cały semestr prowadził z ich grupą seminarium. Turbin od razu wyodrębnił spośród słuchaczy trzeciego roku nieprzeciętnie zdolną studentkę; z nią jedną mógł rozmawiać tym samym językiem, co z profesorami i docentami. Wzajemne zainteresowanie podbudowała wkrótce również obopólna sympatia, która z kolei przerodziła się w fascynację, i kto wie, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby Ela, nie mając nic lepszego do roboty, nie przyszła razem z Katią na uczelnię, by ją wesprzeć duchowo przed egzaminem z psychologii społecznej. Katia w audytorium odpowiadała na pytania wykładowcy, a Elena na korytarzu, oparta o parapet, denerwowała się, czy przyjaciółce aby dobrze idzie; towarzyszył jej młody asystent, który akurat przypadkowo tędy przechodził. Kiedy Katia wyszła z sali, wystarczyło jej jedno spojrzenie, by zrozumieć, co się stało. Nagłą bladeść dziewczyny Ela i Turbin przypisali egzaminacyjnemu napięciu i stresowi.

Katia od razu pogodziła się z sytuacją, nie była typem przebojowym i dlatego nie rywalizowała z Eleną o miejsce przy boku Turbina. Rana w jej sercu jednak dotąd się nie zagoiła, ale przecież Katia nie przypadkiem wybrała kierunek, na którym studiowała filozofię, socjologię i psychologię. Zajmowała się dziedzinami, w których dobrze się orientowała, które były jej bliskie, zrozumiałe i interesujące. I dzięki temu udało się dziewczynie rozdzielić w sobie miłość do Walerija Turbina i przyjaźń z sąsiadką i koleżanką szkolną Elą Bártos. W głębi duszy nawet trochę jej współczuła – Elena nie miała ani przyjaciół, ani pracy, ani zainteresowań. W takiej sytuacji romansowa historia staje się dla człowieka jedyną ostoją, skupia wszelkie jego myśli i emocje, wszystko zaś, co jej zagraża, wydaje się katastrofą, a w każdym razie tragedią. Z pewnością spotkam jeszcze w życiu, myślała

Katia, interesujących, mądrych mężczyzn, a gdzie Elka miałyby ich poznać? Nigdzie nie bywa, z nikim nie utrzymuje stosunków, obija się wprawdzie po zagranicach, ale na wycieczki turystyczne jeżdżą przeważnie kobiety, a jeśli trafi się mężczyzna, to zawsze z żoną albo z dzieckiem. Samotni i bogaci się tam nie zdarzają. Zawierać znajomości na ulicy Ela też nie może, od dzieciństwa wpajano jej surowo, że to nie wypada. Oczywiście, mogłaby zlekceważyć rodzicielskie zasady, ale przecież sama doskonale wiedziała, że pozycja, którą zajmuje jej ojciec, sprawia, iż nikt z rodziny nie ma prawa ryzykować, zawierając przypadkowe znajomości; niewykluczone, że wprowadziłyby do domu mordercę lub złodzieja.

Ela w końcu się uspokoiła i dziewczęta gadały prawie do jedenastej. Wracając do siebie, Ela wyjęła ze skrzynki gazety i małą białą kopertę. Nie widniało na niej imię ani nazwisko adresata, więc chwilę obracała ją w rękach, wahając się, czy otworzyć przesyłkę, czy oddać rodzicom. Ciekawość jednak zwyciężyła, więc Elena naderwała brzeżek koperty i wyjęła z niej złożony we czworo kawałek papieru. Na kartce dużymi, drukowanymi literami napisano: „Nie rób tego. Pożałujesz”.

ROZDZIAŁ 2

Nastia właśnie zdążyła wejść pod prysznic, gdy ktoś zadzwonił. Losza otworzył drzwi, przez które wpadła jak burza rozpromieniona Daszka. Była w ósmym miesiącu ciąży, dlatego też zamiast sukni ślubnej włożyła lekki jedwabny komplet w kolorze kremowym, złożony z szerokich luźnych spodni i długiego kasaka z karczkiem, układającego się w miękkie, lejące fałdy. Brzemienna Dasza nie zbrzydła, jak to często bywa w ciąży; jej twarz okalały gęste, miodowopszeniczne włosy, ogromne niebieskie oczy spoglądały

ciepło i życzliwie, a w dobrze uszytym spodniemie dziewczyna wyglądała nie jak przyszła matka, lecz jak urocza, pulchna kuleczka.

- No tak, wiedziałam, że jeszcze jesteście w lesie! Anastazja, wiadomo, to znany leń i śpioch, ale ty?

- Co ja? - zdziwił się Czistiakow. - Przecież w urzędzie mamy być o dziesiątej, a jest dopiero ósma.

- A ubrać się? Umalować? Kupić kwiaty? Za godzinę przyjedzie po nas Aleksander, a ty i Nastia ciągle w rosole.

- Nie bój się - uspokajał Losza przyszłą krewniaczkę. - Zdażymy. Nie powinnaś się denerwować, to ci szkodzi.

- Gdzie narzeczona? - surowo spytała Dasza.

- Pod prysznicem, budzi się.

- Ma już przygotowany strój?

- Nie wiem - spieszył się Czistiakow. - Nie pytałem.

- Wiedziałam! Pewnie nawet nie zdażyła sprawdzić, czy wszystkie guziki się trzymają i czy nie trzeba czegoś odprasować. Idź, zajmij się śniadaniem, a ja obejrzę kostium.

Czistiakow pokornie podreptał do kuchni zaparzyć kawę, a z pokoju dobiegały go co chwila westchnienia i narzekania Daszy.

- O Boże, gdzie ona wepchnęła tę bluzkę, którą jej kazałam włożyć? Przecież widziałam ją gdzieś tutaj... Oczywiście, że trzeba odprasować spódnice... Nie, to nie panna młoda, tylko jakieś totalne nieporozumienie... Czy przynajmniej jest w tym domu żelazko?

Nastia, która wyszła z łazienki, zamarła na widok rezultatów burzliwej działalności Daszy. Wszystkie ubrania z szafy leżały porozrzucane na kanapie i fotelach, a pośrodku pokoju kłęczała Dasza i rozpostarlwszy na podłodze cienki koc, prasowała na nim czarną spódnice Nastii.

- Cóż tak stoisz jak skamieniała? - spytała Daszka, nie odwracając się. - Wypij szybko kawę i zajmij się swoją twarzą.

- Może to nie jest konieczne? - ostrożnie spytała Nastia, która nie cierpiała się malować, chociaż musiała przyznać,

że ze starannie nałożonym makijażem wygląda o wiele atrakcyjniej.

- Akurat! Jak to „nie jest konieczne”? Anastazjo, nie zaczynaj od nowa, przecież już dawno wszystko ustaliłyśmy. Zgodziłam się, że nie będziesz kupowała na ślub nowej sukni i włożysz coś z rzeczy, które masz, ale bądź uprzejma przynajmniej zrobić sobie przyzwoity makijaż.

Odwróciła głowę i zobaczyła siostrę swojego narzeczonego stojącą bosą i owiniętą w długi kąpielowy ręcznik.

- Nastiu, na miłość boską! – krzyknęła zniecierpliwiona Dasza, zawzięcie wodząc żelazkiem po spódnicy. – Nie wprowadzaj mnie z równowagi, rusz się, bo się spóźnimy!

Kiedy punktualnie o dziewiątej zadzwonił do drzwi Aleksander Kamiński, Nastia, już po dwóch kawach, w uprasowanym kostiumie stała przed lustrem w łazience i kończyła się malować.

- Asiu! – zawołał brat z przedpokoju. – Jest do ciebie list.

- Jaki list?

- Nie wiem. W drzwi była wetknięta koperta. Bez adresata i nadawcy.

Nastia odłożyła pędzelek i wyszła z łazienki, żeby się przywitać z bratem. Pocałowali się i przyjrzeni sobie nawzajem z udawanym krytycyzmem.

- No i jak? – spytała Nastia. – Może być?

- W porządku. A ja?

Wysoki, chudy brzydał Sasza prezentował się dzisiaj niczym superman z hollywoodzkiego filmu. Czy była to zasługa garnituru uszytego przez dobrego krawca, czy jakiegoś nowego wyrazu twarzy, w każdym razie cały wygląd Aleksandra wręcz krzyczał: „Jestem szczęściarzem i wszystko mogę, wszystko układa się tak, jak chcę, nikt nie zdoła mi w niczym przeszkodzić”.

- Jesteś przystojny jak diabli. – Nastia uśmiechnęła się.
- Daj ten list.

Wzięła białą kopertę i rozerwała ją niecierpliwie. Na złożonej we czworo kartce ktoś napisał drukowanymi literami: „Nie rób tego. Pożałujesz”.

Nie zdołała się opanować, gwałtownie zbladła i ręce zaczęły jej się trząść.

- Co się stało? To coś złego? - spytał zaniepokojony Aleksander.

- Nie, nic, głupstwo, nie warto sobie zaprzętać głowy - odpowiedziała Nastia, starając się ukryć wzburzenie i strach.

- Asiu!

- Saszeńka, nie przejmuj się. Wszystko w porządku. To nie ma najmniejszego związku z naszym ślubem. Proszę cię, idź do kuchni i zatrzymaj tam przez pięć minut Daszę i Loszkę, niech nie wchodzi do pokoju. Muszę zatelefonować.

Zamknęła drzwi, chwyciła słuchawkę i wybrała numer śledczego Olszańskiego.

- Konstantinie Michajłowiczu - zaczęła mówić szybko - Artiuchin najwidoczniej nieźle się wystraszył. Ktoś wsunął mi w drzwi list z pogrózkami. Pewnie po to, żebym nie powiadomiła śledczego o naszym wczorajszym spotkaniu. Mają nadzieję, że się rozmyślę.

- Dotykałaś listu?

- Tylko ostrożnie, paznokciami, wzięłam za sam brzeżek. Reaguję jak pies Pawłowa. Nigdy nie biorę takich listów w palce, to już sprawa zwykłego odruchu.

- Gdzie teraz jesteś?

- Na razie w domu. Za dziesięć minut wychodzimy.

- I dokąd się udajecie?

- Najpierw na dziesiątą do urzędu w Sokolnikach, potem, około dwunastej, wracamy do Izmajłowa, a o drugiej jedziemy do centrum, na obiad w „Metropolu”.

- Dobra, będę w Sokolnikach o dziesiątej, dasz mi list. I nie denerwuj się, słyszysz? Jeżeli facet jest przekonany, że do poniedziałku nie zamierzasz podjąć żadnych kroków, to przed poniedziałkiem cię nie ruszy. A przez te dwa dni go dopadnę, jak amen w pacierzu. To dopiero kawał drania!

Skończywszy rozmowę ze śledczym, Nastia wróciła do łazienki dokończyć makijaż. Z kuchni dobiegały ożywione głosy brata i jego narzeczonej, którzy z zapalem dyskutowali, jakie kwiaty będą najbardziej odpowiednie dla Nasti jako świadka i jako panny młodej, jaki bukiet powinien stać na stole w restauracji i czy wypada, by Sasza wręczył prezent matce Anastazji – pierwszej żonie swojego ojca. Losza nie brał udziału w tych rozważaniach, w każdym razie jego głosu Nastia nie słyszała.

Muśnięciami szerokiego, miękkiego pędzelka nakładała właśnie na policzki niemal niewidoczny, delikatny róż, który miał podkreślić owal twarzy, kiedy z kuchni wyszedł Aleksander.

- No i co? Wszystko w porządku?

- Mniej więcej – odparła, nie odwracając się od lustra.

- Koło sokolnickiego urzędu będzie stał niebieski moskwicz, postaraj się zaparkować obok niego, dobrze?

- Dobrze. A czyj to samochód?

- Śledczego z prokuratury miejskiej. Dam mu list, technicy popracują nad nim, podczas gdy my będziemy wstępować w związki małżeńskie.

Sasza stanął za Nastią, żeby dojrzeć twarz siostry choćby w lustrze i uchwycić jej spojrzenie.

- Asiu, zadam ci teraz pytanie, może nietaktowne, ale daj słowo, że nie skłamiesz. Albo powiedz mi prawdę, albo nie odpowiadaj w ogóle.

- No dobrze, daję słowo – mruknęła niewyraźnie, pociągając wargi beżową szminką.

- Żałujesz, że wychodzisz za męża, prawda? Teraz, w tej chwili, żal ci, że musisz jechać do urzędu zamiast osobiście odwiedzić ten cholerny list do laboratorium i sterczeć technikom nad głową, dopóki go nie zbadają. Może nie? Bo potem, kiedy już będą wyniki, pojechałabyś jeszcze gdzieś tam i zajęła się poszukiwaniami tego, kto ci grozi. To byłoby dla ciebie o wiele atrakcyjniejsze niż wyjście za męża. Nie mam racji?

Nastia powoli zakręciła złotą oprawkę szminki i wciąż nie odwracając głowy, obrzuciła uważnym spojrzeniem twarz Aleksandra w lustrze. Oczy miał zupełnie takie same jak ona, identyczne – bardzo jasne, przejrzyste, niemal bezbarwne. Białawe brwi i rzęsy, cienki, prosty nos, wyraźnie zarysowane, surowe usta, zapadnięte policzki i wystające kości policzkowe. Brat i siostra byli niezwykle do siebie podobni, oboje wysocy i szczupli, tyle że Nastia – po prostu niepozorna, a Sasza – zdecydowanie brzydki.

– Skąd ci przyszło do głowy, że coś mi grozi? – zapytała Anastazja.

– Dlatego że list jest napisany dużymi drukowanymi literami, i kiedy go czytałaś, ja też zdążyłem rzucić na niego okiem. A więc odpowiesz na moje pytanie?

– Nie. Uchylam się od odpowiedzi.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że nie skłamałaś.

Odwrócił Nastię przodem do siebie i pieczołowicie przytulił jej głowę do swego ramienia. Mimo że siostra była o siedem lat od niego starsza, zawsze traktował ją jak młodszą siostrzyczkę, która wymaga troski i opieki.

– Kocham cię, Nastiusza – powiedział cicho, muskając wargami jej platynowe włosy. – Dziękuję ci za wszystko. Gdyby nie ty, nigdy nie byłbym taki szczęśliwy. Nie zrozumiałbym, kim jest Daszka, i na pewno rzuciłbym ją, tak samo jak inne kobiety, które znałem przed nią. No i nie zdecydowałbym się na rozwód. A najgorsze, że Dasza mogła zginąć. Ty ją uratowałaś. Dziękuję ci.

Nastia uwolniła się łagodnie z objęć brata i pogładziła go po policzku.

– Saszeńka, nie czas teraz na poważne rozmowy. W końcu mamy dzisiaj święto, więc przepędźmy złe myśli, nie chcę słyszeć tych nut tragizmu w twoim głosie, niech smutki idą precz. Chodźmy, pora jechać, Daria pewnie się denerwuje.

Aleksander jednak nie ruszał się z miejsca, w zadumie spoglądając na odbicie Nasti w lustrze.

- Sasza, co ci jest? Nad czym się tak zamyśliłeś?

- Asiu, wiem, że masz jakieś kłopoty. Nie nalegam, żebyś mi koniecznie o wszystkim opowiadała, ale chcę, żebyś wiedziała jedno: zawsze możesz na mnie liczyć, cokolwiek by się stało. Udzielę ci wszelkiej pomocy, zrobię, co będę mógł. Możesz być tego absolutnie pewna. Rozumiemy się?

- Dzięki, Sanieczka. Jestem wzruszona, wierz mi. Ale teraz już chodźmy, musimy się śpieszyć.

Zalanymi słońcem ulicami dojechali do sokolnickiego urzędu, gdzie Daria Sundijewa i Aleksander Kamieński mieli wziąć ślub. Nastia z bratem wsiedli do samochodu Saszy, a Losza jechał tuż za nimi swoim, wioząc Daszę. Nastia z początku usiłowała przeciwko temu protestować, ale jej przyszła bratowa oświadczyła autorytatywnie, że młoda para nie powinna jechać do ślubu razem. Po drodze zatrzymywali się parę razy przy bazarach i stacjach metra, gdzie Daria starannie wybierała kwiaty dla siebie i Nasti. Wreszcie za dziesięć dziesiątą zajechali przed urząd stanu cywilnego. Niebieski moskwicz Olszańskiego już stał przy wejściu, wyglądając jak uboga sierota obok dwóch nowiuteńkich saabów, mercedesa i audi.

Sam Konstantin Michajłowicz nieruchomo siedział w samochodzie, jakby nie widząc, że z wozu, który zajechał, wysiada Nastia. Dopiero gdy ujęła za klamkę, żeby otworzyć drzwi moskwicza, poruszył się i powiedział zdumiony:

- Boże, Kamieńska, nie poznałem cię! To ty czy nie ty?

- Oczywiście, że nie ja - roześmiała się Nastia - ja siedzę teraz w pracy, na Pietrowce. Pomylił się pan.

Podawała mu plastikową torebkę na dowody rzeczowe, do której wsunęła kopertę z listem, śledczy zaś wręczył jej pąsową różę na długiej, prawie metrowej lodydze.

- To dla ciebie. Holenderska. Nie pachnie, za to długo postoi.

- Dziękuję panu, Konstantinie Michajłowiczu.

- Ja ci też dziękuję. Złapałem waszego Olega Zubowa i namówiłem go, żeby się zajął listem. Jadę teraz prosto do niego. Jeżeli jesteś ciekawa, jakie będą wyniki ekspertyzy, zadzwoń wieczorem, powiem ci.

Wyrzał przez okno i uśmiechnął się.

- A co to za ciężarna księżniczka? Twój świadek?

- Nie, to narzeczona mojego brata. Najpierw oni wezmą tutaj ślub, a potem my się pobierzemy w innym urzędzie.

- No, no! A twój Loszka to który z nich dwóch?

- Ten rudy.

- Czyli blondyn to brat?

- Tak. Przyrodni, młodszy, ukochany.

- Coś takiego! A wygląda jak rodzony, przecież to twoja kopia. Widać wasz wspólny ojciec ma silne geny, zawsze biorą górę. No dobrze, życzę ci... Zresztą sama wiesz czego. Nie jestem mistrzem pięknych słówek, a to, że cię lubię, szanuję i cenię, to chyba dla ciebie oczywiste. Powodzenia!

- Nawzajem. Zadzwoń wieczorem – obiecała Nastia, wysiadając z moskwicza.

Najwidoczniej Aleksander poddał kierowniczkę urzędu „obróbce wstępnej”, gdyż wszystko szło jak z płatka. Pracownica, która czekała na nich przy wejściu, promiennie uśmiechnięta, poprosiła o dowody osobiste i zaproponowała pannie młodej i jej świadkowi Nastii, by weszły do pokoju dla pań, gdzie mogą poprawić makijaż czy fryzurę.

- Dosłownie za trzy minuty poprosimy państwa do sali ślubów. Jeżeli chcieliby państwo po ceremonii napić się szampana, zaraz wstawimy butelkę do lodówki.

- A czy nie można gdzieś tutaj dostać kawy? – wyrwało się Nastii.

Jej słowa usłyszała mijająca ich postawna dama w eleganckich, drogich okularach i z nieskazitelną fryzurą.

- Przepraszam, czy pani jest świadkiem Aleksandra Pawłowicza? – zagadnęła Nastię.

- Nie, jego narzeczonej. A o co chodzi?

- Aleksander Pawłowicz uprzedził, że razem z nim przyjedzie jego siostra, która też dziś wychodzi za mąż. To pani?

- Owszem.

- Tak właśnie myślałam. - Dama uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. - Proszę obie panie do mnie do gabinetu.

Dasza, niepewnie popatrując to na Nastię, to na postawną damę, dreptała obok. Sasza i Czistiakow gdzieś zniknęli i Anastazja czuła się trochę nieswojo.

Dama wprowadziła obie kobiety do ogromnego gabinetu, gdzie wokół dużego niskiego stołu stało pięć foteli. Na stole pysznił się bukiet wspaniałych róż, stało otwarte pudełko czekoladek i butelka szampana w wiaderku z lodem.

- Proszę, proszę bardzo. - Dama uśmiechnęła się życzliwie. - Jestem tu kierownikiem, przedstawię się, Dina Borisowna. Aleksander Pawłowicz i Aleksiej Michajłowicz zaraz się pojawią i razem przejdą państwo do sali ślubów, gdzie odbędzie się ceremonia zawarcia małżeństwa. Pani nazywa się Anastazja Pawłowna, jeśli się nie mylę?

Nastia w milczeniu skinęła głową, niespokojnie oczekując, co będzie dalej. Dina Borisowna tymczasem przekręciła niepostrzeżenie jakąś dźwigienkę, rozległo się ciche bulgotanie, a po chwili stanęła przed Nastią filiżanka parującej kawy.

- Aleksander Pawłowicz uprzedzał, że jego siostra na pewno będzie chciała się napić kawy - oznajmiła z uśmiechem kierowniczka - więc ekspres czekał w gotowości bojowej. Po ceremonii wrócą państwo do tego gabinetu, by symbolicznie uczcić wstąpienie w związek małżeński. Czekoladki, szampan, kieliszki - wszystko jest do państwa dyspozycji.

„No, no! - pomyślała Nastia. - Ciekawe, jaką sumkę Saszka wsunął tej kierowniczce, że jest taka usługowa i tak się przymiła? Nawet imiona zapamiętała, i moje, i Loszki, widocznie się opłacało. Ach, ten Sańka! Ztroszczył się także o kawę dla mnie. Wreszcie chyba zaczynam rozumieć, co mój braciszek ma na myśli, mówiąc o „świętowaniu”. Chodzi

mu o to, żeby wszelkie, nawet najdrobniejsze życzenie każdego zostało spełnione, żeby wszyscy czuli się po prostu komfortowo”.

Ledwie zdążyła dopić mocną, aromatyczną kawę, gdy zjawili się Sasza i Aleksiej. W tej samej chwili otworzyły się drugie drzwi, prowadzące z gabinetu kierowniczkii do sali ślubów.

- Aleksandrze Pawłowiczu, zapraszamy wraz z narzeczoną i świadkami!

Dasza nagle się zdenerwowała i ani rusz nie mogła sobie poradzić ze swoim bukietem. Kolce róż wciąż zahaczały o cienki jedwab bluzki, duże, na wpół rozwinięte kwiaty albo zasłaniały twarz dziewczyny, albo - gdy je opuszczała - wlokły się niemal po podłodze. Z przejęcia i zmieszania Daria miała łzy w oczach. Z pomocą pośpieszyła jej Dina Borisowna. Podbiegła do Daszy i wzięła od niej bukiet.

- Proszę mi go dać - powiedziała. - Dobrze, a teraz proszę sobie poprawić bluzkę, włosy i stanąć wygodnie. O, dobrze, i ręce trzymać w naturalnym położeniu, lekko zgięte, żeby nie drętwiały. Doskonale. Uwaga, wkładam w nie bukiet, no już, widzi pani, wszystko jest w najlepszym porządku. Kwiaty o nic nie zaczepiają i nie wysuwają się.

Uroczyście weszli w otwarte drzwi przy dźwiękach grającego w rogu kwartetu smyczkowego. Ceremonia się rozpoczęła. Nastia w napięciu wpatrywała się w osoby znajdujące się w pokoju, wsłuchiwała w wypowiedane słowa i co chwila spoglądała na zegarek. Wcale jej się to wszystko nie podobało. Wyobraziła sobie, że wkrótce będzie tak samo stała z głupią miną pośrodku wielkiej sali, trzymając przed sobą niewygodny, kłujący bukiet róż, a jakaś obca baba będzie plotła androny o tym, jaką to odpowiedzialną decyzję podejmują Nastia i Czistiakow... i że od dzisiaj... wzajemna miłość... troska... zrozumienie... itede, itede. Potem powoli, żeby fotograf zdążył zrobić zdjęcie, trzeba będzie wymienić obrączki, pocałować się, podejść do biurka i złożyć podpis w wielkiej księdze. Wzdrygnęła się. Gdyby wiedziała, że ta

ceremonia jest taka męcząca, zastanowiłaby się jeszcze, czy w ogóle wychodzić za męża. W końcu żyją z Loszą od piętnastu lat bez żadnego ślubu, i dobrze.

- Ogłaszam was mężem i żoną... Państwo młodzi, proszę wymienić obrączki... Złożyć sobie nawzajem życzenia... A teraz podejść tutaj i złożyć podpisy... Świadków również prosimy o podpisanie się...

Wreszcie nastąpił koniec ceremonii. Nastia ucałowała Daszę i wręczyła jej kolejne róże. Następną wiązanek kłującego kwiecica dołożył Czistiakow. Małeńka Dasza zniknęła zupełnie pod naręczem kwiatów, tak że Loszy zrobiło się żal dziewczyny i wyjął jej z rąk bukiety. Znowu znaleźli się w gabinecie Diny Borisowny, gdzie Nastia z ulgą opadła na fotel.

- No i co, Aleksandrze Pawłowiczu, wszystko w porządku? - upewniła się kierowniczką. - Zgodnie z pańskim życzeniem?

- Bardzo dziękuję, Dino Borisowno, jak najbardziej. Proszę usiąść z nami, zapraszam na kieliszek szampana - odparł Sasza.

Wypili wino, Sasza i Aleksiej symbolicznie, po pół łyżka, jako że musieli jeszcze usiąść za kółkiem. Dasza również ledwie umoczyła wargi w pieniającym się, złotawym płynie, gdyż przestrzegano wszelkich zakazów, chcąc urodzić zdrowe dziecko. Nastia natomiast, ku własnemu zdziwieniu, z wielką przyjemnością opróżniła swój kieliszek i poprosiła o następny. Szampan wydał jej się wspaniały. Możliwe, pomyślała, że nie chodzi o szampana, tylko o to, że - choć to dziwne - jestem zdenerwowana. Ciekawe, czym? Tym, że wychodzę za męża, czy listem?

Z Sokolnik do Izmajłowa jechali w tym samym szyku - na przedzie Sasza i Nastia, za nimi - Czistiakow z Daszą.

- Sania, jak myślisz, można załatwić w urzędzie, żeby udzielił nam ślubu bez tych wszystkich ceremonii?

- Nie wiem. A dlaczego nie chcesz? Nie podobało ci się?

- Szczerze mówiąc, nie. Nie lubię takich cyrków. Człowiek stoi na środku sali jak krowa i słucha jakichś bredni... Głowa mnie rozboleła z tego wszystkiego. Drugi raz, i do tego w głównej roli, chyba czegoś takiego nie wytrzymam.

- Dobrze, spróbuję coś załatwić – obiecał Sasza.

W urzędzie od razu się rozdzielili. Nastia i Dasza usiadły w przestronnym, ładnie urządzonej holu, a mężczyźni poszli poprosić o uproszczenie ceremonii. Losza zdecydowanie poparł pomysł Nastii, żeby, o ile to tylko możliwe, uniknąć zbędnej pompy, więc Saszy nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z dziwactwami siostry.

- Wyjdę na chwilę na zewnątrz – powiedziała Nastia, kiedy po dziesięciu minutach oczekiwania znudziło jej się sterczeć w holu na widoku zgromadzonych tam osób.

- Po co?

- Chcę zapalić.

- Pójdę z tobą. – Dasza już miała wstać, ale Nastia powstrzymała ją krótkim gestem.

- Siedz tutaj, nigdzie nie odchodź, bo nasi panowie nie będą mogli nas znaleźć.

Wyszła na schodki i stanęła z boku, przy koszu na śmieci. Był to pierwszy papieros po dwóch kieliszkach szampana, i Nastia poczuła, że kręci jej się w głowie i nogi ma jak z waty. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund, po czym wszystko wróciło do normy. Anastazja z ciekawością zaczęła się przyglądać wychodzącym z urzędu i wchodzącym do niego osobom. Z kanarkowożółtego żiguli wysiadł z trudem młody człowiek, od stóp do głów obwieszony aparatami fotograficznymi.

- Może potrzebny fotograf? – zagadnął Nastię, przechodząc.

- Nie, dziękuję – odmówiła z uśmiechem.

Chłopak wszedł przez szklane drzwi do holu. Nastia zobaczyła, jak podszedł do Daszy, i odnotowała w pamięci, że z bliska wygląda na trochę starszego niż z większej od-

ległości. Daszka też pokręciła głową przecząco i fotograf szybko ruszył dalej.

Nastia wróciła do holu, gdzie bratowa niecierpliwiła się, że mężczyźni przepadli na tak długo.

- Gdzie oni się podziali?

- A po co się śpieszyć? - z filozoficznym spokojem odrzekła Nastia. - Siedzimy sobie, nikt nas nie wyrzuca, nikt nad nami nie stoi, jest ciepło, sucho. Czego nam więcej trzeba?

- Czyżbyś nie chciała jak najprędzej zostać mężatką?
- spytała zdziwiona Dasza.

- Wszystko mi jedno - przyznała się Nastia. - Jesteśmy ze sobą od piętnastu lat. Po ślubie nic się nie zmieni.

- Ale chyba zamieszkacie razem?

- Skąd ci to przyszło do głowy? Loszka będzie mieszkał u siebie, w Żukowskim, ma stamtąd do pracy pięć minut piechotą. Dawniej też przyjeżdżał do mnie przeważnie tylko na weekendy, owszem, czasami w tygodniu również, ale rzadko. I teraz będzie tak samo.

- To jednak zupełnie co innego - upierała się Dasza, która za nic nie chciała ustąpić i przyznać, że formalnie zawarte małżeństwo bynajmniej nie jest najważniejszą i najwspaniałszą rzeczą w życiu.

Wreszcie z załomu korytarza wyłonili się Aleksander i Losza.

- Wszystko załatwione, dziewczyny, zgodnie z życzeniem, tylko trzeba będzie jakieś pół godzinki poczekać. Przed nami są jeszcze dwie pary, na każdą trzeba liczyć po piętnaście minut, a potem poproszą nas, oddadzą nam dowody, wasze z odpowiednim wpisem i pieczęcią, wręczą świadectwo ślubu, podpiszemy się w księdze - i na tym koniec. Wszystko razem potrwa dwie minuty.

- A obrączki? - zaniepokoiła się Dasza.

- Wymienimy je w restauracji - powiedziała Nastia. - Albo od razu tutaj, w holu.

- Coś ty! Nastiu, no wiesz, naprawdę...

Przejętej Daszy znów łzy zabłysły w oczach. Miała za ledwie dwadzieścia lat, Sasza Kamiński był jej pierwszą wielką miłością, nosiła pod sercem jego dziecko i ślub z ukochanym uważała za najważniejsze wydarzenie w swoim życiu. W żaden sposób nie mogła zrozumieć, dlaczego Nastia i Aleksiej podchodzą do tego tak obojętnie, a nawet z rezerwą.

Siedzieli w holu i cierpliwie czekali, aż skończy się uroczysta ceremonia zaślubin dwóch par, które były przed nimi. Nastia jeszcze raz wyszła na ganek zapalić papierosa. Tym razem stał tam młody fotograf, który proponował jej przedtem swoje usługi.

- Może się pani namyśliła? - zapytał z uśmiechem. - Ceny mam umiarkowane, jakość zdjęć gwarantowana.

- Nie, dziękuję - powtórnie odmówiła Nastia.

- Ale dlaczego? - zdziwił się chłopak. - Taka kobieta jak pani powinna lubić się fotografować.

- Skąd panu to przyszło do głowy?

- Jest pani bardzo fotogeniczna. Jakkolwiek się pani ustawi, zawsze wyjdzie pani na zdjęciu doskonale. Pracuje pani jako fotomodelka?

- Nie. I nie musi się pan uciekać do pochlebstw szytych tak grubymi nićmi, to mnie może tylko jeszcze bardziej zniechęcić.

- Czegoś tu nie rozumiem...

- Prawi mi pan komplementy, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, po to, żebym skorzystała z pańskich usług jako fotografa. Doskonale pan wie, że nie jestem żadną piękną i nigdy nie mogłabym nią być. Ale ma pan nadzieję, że złapię się na lep pańskich pochlebstw i zapragnę, by mnie sfotografował ktoś, kto dostrzegł, że jestem piękna, i potrafi sprawić, że będę tak wyglądała na zdjęciach.

Fotograf spojrział na Nastię w zamyśleniu i współczująco pokiwał głową.

- U-u-u, ale panią wzięło! Aż trudno uwierzyć! Taka uroda - i takie kompleksy. Zostały pani z dzieciństwa?

Nastia poczuła, że się czerwieni. Własny niepozorny wygląd był jej obojętny, nie miała z tego powodu żadnych kompleksów, nie mogła natomiast znieść, gdy obcy ludzie zaczynali komentować jej powierzchowność.

- Wie pani co - ciągnął fotograf, patrząc na Nastię wesołymi, zielonobrazowymi oczyma - zaraz pstryknę panią polaroidem, w dwie minuty zdjęcie będzie gotowe, i sama się pani przekona. Zrobię to bezpłatnie, niech się pani nie obawia. Pokażę pani, co to *master class*.

- Co mi pan pokaże? - spytała Nastia, która już zdołała opanować zmieszanie.

- Udowodnię, że wcale pani nie oszukuję. Nie będę pani specjalnie ustawiał, zrobię zdjęcie bez przygotowania, a jeżeli się okaże nieudane, nie spodoba się pani, to znaczy, że przegrałem.

- Dobrze, zgoda - poddała się dla świętego spokoju Nastia. I tak zdążyła wypalić papierosa dopiero do połowy.

- A więc teraz nastawiam aparat i odwracam się. Pani staje w dowolnej pozycji i zaczyna liczyć na głos. Na „trzy” znów się odwracam i robię zdjęcie. Pasuje?

- Zgoda - powtórzyła Anastazja obojętnie.

Chłopak odwrócił się, a ona dalej zaciagała się dymem, pogrążona w myślach o Artiuchinie, którego fałszywe alibi pękło niczym bańka mydlana, a on sam przysłał jej dziś, w dniu ślubu, ohydny list z pogrózkami. Kiedy dopaliła papierosa już prawie do końca, przypomniała sobie, że ma liczyć, i powiedziała szybko:

- Raz - dwa - trzy.

Fotograf zręcznie się odwrócił, na chwilę znieruchomiał, po czym rozległ się krótki trzask i nastąpił rażący w oczy błysk.

- Długo się pani szykowała - zauważył chłopak, majstrując przy aparacie.

- Prawdę mówiąc, zapomniałam o panu - chłodno odparła Nastia.

- Więc co pani robiła tak długo?

- Myślałam o swoich sprawach.
- Będzie pani świadkiem na ślubie przyjaciółki?
- Nie, sama wychodzę za mąż.
- Niemożliwe!
- Dlaczego?
- W czarnej spódnicy i czarnej bluzce? Panna młoda, która wychodzi zapalić na ganek i rozmawia z nieznanym mężczyzną, zamiast umierać ze szczęścia i wzruszenia, trzymając ukochanego za rękę? Nigdy w to nie uwierzę.
- To pańska sprawa. No i co tam ze zdjęciem?
- Jeszcze chwilka cierpliwości, zaraz będzie gotowe. Na pewno nie po raz pierwszy wychodzi pani za mąż? W takim razie pani spokój jest rzeczą zrozumiałą. Zna już pani tę procedurę i jej następstwa, niestety, też. Może nie? – Fotograf parsknął zaraźliwym śmiechem.

Nastia nie wytrzymała i też się uśmiechnęła.

- No już, gotowe. I kto z nas miał rację?

Anastazja oszołomiona patrzyła na zdjęcie, nie wierząc własnym oczom. Czyżby to była ona? Ta wytworna młoda kobieta w krótkiej spódniczce, odsłaniającej zgrabne, długie nogi, w czarnej bluzce, podkreślającej jasną karnację, i w eleganckim białym żakiecie – to ona? Z fotografii spoglądała na nią chłodna twarz o klasycznych, regularnych rysach, wydatnych kościach policzkowych, ładnie zarysowanych ustach i zamyślonym spojrzeniu. Dopiero patrząc na zdjęcie, Nastia przypomniała sobie, że poświęciła dziś pół godziny na staranny makijaż, dzięki któremu rzeczywiście wygląda nie najgorzej. Tak dalece przywykła już do swej niepozornej powierzchowności, że czuła się jak szara myszka nawet wtedy, kiedy w istocie mogła uchodzić niemal za gwiazdę filmową.

- Przyznaję, przegrałam. Co jestem panu winna?

- Ależ nic. Wystarczy „przepraszam” za to, że była pani dla mnie taka niemila.

- Przepraszam - powiedziała Nastia. - Pan miał rację i przykro mi, że zachowałam się wobec pana tak niegrzecznie - przyznała szczerze.

Chciała jeszcze coś dodać, ale właśnie dostrzegła, że Dasza daje jej jakieś znaki. Widocznie przyszła ich kolej.

- Wybacz pan - rzuciła tylko z uśmiechem - ale już mnie wzywają przed ołtarz.

Chciała oddać fotografowi zdjęcie, on jednak pokręcił odmownie głową.

- Proszę to zatrzymać na pamiątkę.

Nastia szybko weszła do holu, gdzie cała trójka już na nią czekała.

- To tam. - Losza machnął ręką w prawo, gdzie znajdował się cały rząd jednakowych drzwi, różniących się tylko numerami. - Pokój numer dziewięć.

W pokoju numer dziewięć siedziały dwie sympatyczne dziewczyny, które na cztery ręce wypisywały świadectwa ślubu i przybijały pieczętki w dowodach osobistych. Jedna z nich wybiegła na moment i po chwili wróciła z ogromną księgą.

- Proszę się szybciotko podpisać - powiedziała zdyszana. - Muszę zaraz odnieść księgę, bo bez niej nie można zacząć następnej ceremonii.

Nastia i Losza oraz ich świadkowie złożyli podpisy i dziewczyna pomknęła z księgą do sali ślubów.

- Czy przyjmuje pani nazwisko męża? - zapytała urzędniczka, wypisując świadectwo ślubu.

- Nie, zostaję przy swoim.

- A więc piszemy: nazwisko męża - Czistiakow, nazwisko żony - Kamieńska...

W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk kobiety, po czym dołączyło do niego jeszcze kilka damskich głosów.

- Dasza, zaczekaj tutaj - poleciła Nastia, wybiegając pędem do holu.

Aleksander i Losza rzucili się za nią. Koło drzwi do toalety zebrał się czarno-biały tłum panien i panów młodych.